

1



– Że kto? – zapytał mężczyzna zajmujący moje nowe mieszkanie.

– Tres Navarre – wyjaśniłem.

Przycisnąłem ponownie umowę najmu do zewnętrznych drzwi z moskitierą, żeby mógł ją sobie przeczytać. Na ganku małej przybudówki musiało być ze czterdzieści stopni. Chłodne powietrze z klimatyzowanego wnętrza broczyło przez siatkę w drzwiach i odparowywało na mojej twarzy. Z jakiegoś powodu było mi przez to jeszcze goręcej.

Mężczyzna znajdujący się w moim mieszkaniu zerknął na umowę, po czym przyjrzał mi się spod przymrużonych powiek, jakbym był jakimś dziwnym wytworem sztuki współczesnej. Przez metalową siatkę wyglądał pewnie jeszcze paskudniej niż w rzeczywistości – tęgi, koło czterdziestki, ostrzyżony na jeża, ze ściągniętymi rysami twarzy. Był nagi od pasa w górę i miał na sobie tego rodzaju spodenki z grubego poliestru, jakie noszą tylko nauczyciele WF-u.

„Mów prostymi słowami” – pomyślałem.

– Wynająłem to mieszkanie od piętnastego lipca. Pan miał się do tego czasu wyprowadzić. Dziś jest dwudziesty czwarty lipca.

Wuefista nie okazał żadnej skruchy. Obejrzał się przez ramię; w telewizji pokazywali mecz bejsbolowy i akurat wydarzyło się coś ciekawego. Spojrzał na mnie ponownie, tym razem z lekką irytacją.

– Słuchaj, dupku, powiedziałem Gary’emu, że potrzebuję chatę jeszcze na kilka tygodni – oświadczył. – Mój przelew nie przyszedł, kapujesz? Jeżeli chcesz się wprowadzić, to najwcześniej w sierpniu.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Na rosnącym obok schodów pekanie kilka tysięcy cykad wybrało akurat tę chwilę na rozpoczęcie swojego metalicznego śpiewu. Zerknąłem przez ramię na taryfiarza, który wciąż czekał przy krawężniku z włączonym taksometrem, z zamiłowaniem oddając się lekturze magazynu telewizyjnego. Spojrzałem ponownie na wuefistę i posłałem mu uśmiech – przyjazny, dyplomatyczny.

– Hm... Powiem panu, co zrobimy – zacząłem. – Jutro przyjeżdża z Kalifornii ciężarówka z moimi rzeczami. To oznacza, że musi się pan stąd wyprowadzić jeszcze dziś. Ponieważ i tak od tygodnia mieszka pan tu na mój rachunek, jestem skłonny dać panu dodatkową godzinę. Pójdę teraz po moje bagaże do taksówki, a kiedy wrócę, wpuści mnie pan do środka i zacznie się pakować.

Gdyby gość mógł jeszcze bardziej zmrużyć oczy, z pewnością by to zrobił.

– Co, do kurwy...

Odwróciłem się do niego plecami i poszedłem do taksówki. Do samolotu nie zabrałem wiele bagażu – tylko jedną walizkę z ubraniami, drugą z książkami oraz Roberta Johnsona w transporterze. Wyjąłem rzeczy z bagażnika, poprosiłem taryfiarza, żeby zaczekał, po czym ruszyłem z powrotem chodnikiem.

Pekany chrupały mi pod butami. Robert Johnson zachowywał się spokojnie; wciąż był otumaniony po traumatycznym locie.

Dom nie prezentował się o wiele korzystniej, kiedy przyjrzałem mu się po raz drugi. Jak większość pozostałych olbrzymów drzemiących przy Queen Anne Street, budynek z numerem dziewięćdziesiąt miał dwie kondygnacje, dach pokryty starym, zielonym gontem, siding, z którego odłaziła farba, odsłaniając surowe drewno, i wielki przeszklony ganek uginający się pod tonami czerwonej bugenwilli. Prawa strona budynku, z której wystawał mniejszy ganek przybudówki, zsunęła się z fundamentów i opadła do tyłu. Wyglądało to tak, jakby polowa domu dostała udaru.

Wuefista otworzył przede mną drzwi. A dokładniej mówiąc, stał w nich uśmiechnięty z kijem bejsbolowym w rękach.

– Powiedziałem: „od sierpnia”, dupku – oświadczył.

Postawiłem torby i pojemnik z Robertem Johnsonem na najniższym stopniu. Wuefista uśmiechnął się w taki sposób, jakby usłyszał świński dowcip. Na jednym z jego przednich zębów widać było jakiś ciemny osad.

– Próbowales kiedyś zgłębnika dentystycznego? – zapytałem.

Na czole wuefisty pojawiło się kilka nowych bruzd.

– Że co...?

– Nieważne – przerwałem. – Masz jakieś kartony czy wolisz wpakować swoje rzeczy do dużych worków na śmieci? Zgaduję, że taki facet jak ty wybierze pewnie worki.

– Spierdalaj.

Uśmiechnąłem się i wszedłem po schodach.

Ganek był zbyt wąski, aby dało się tam wziąć zamach kijem bejsbolowym, więc wuefista spróbował ubość mnie nim w klatkę piersiową. Uchyliłem się, zrobiłem krok do przodu i chwyciłem go za nadgarstek.

Przy zastosowaniu odpowiedniej siły można pobudzić pracę serca, podobnie jak za pomocą resuscytacji, uciskając punkt

nei guan znajdujący się tuż powyżej nadgarstka. Chińskie babcie wtykają sobie we włosy długie szpile między innymi po to, żeby miały czym dźgnąć punkt *nei guan*, w razie gdyby któryś z członków rodziny dostał ataku serca. Kiedy uciśnie się to miejsce trochę mocniej, przez układ nerwowy przebiega dość nieprzyjemny ładunek elektryczny.

Wuefista poczerwieniał, a jego ściągnięta twarz rozluźniła się pod wpływem szoku. Kij zastukotał na schodach. Mężczyzna zgiał się wpół, chwytając się za rękę, a ja wepchnąłem go do środka.

Telewizor w salonie wciąż był włączony. Na ekranie komik, którego czasy świetności już dawno minęły, żłopał jasne piwo w otoczeniu pięciu czy sześciu cheerleaderek. Poza tym w pokoju znajdował się jedynie materac, w kącie sterta rzuconych ubrań i zdezelowany głęboki fotel. W kuchni na blacie zalegała góra brudnych naczyń i kartonowych opakowań po jedzeniu z fast foodów. Zapach przypominał coś pomiędzy smażonym mięsem a stęchlą wonią wilgotnych ubrań.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, zarządzając to wnętrze – pochwaliłem go. – Teraz rozumiem, dlaczego...

Kiedy się odwróciłem, wuefista stał tuż za mną, a jego pięść znajdowała się piętnaście centymetrów od mojej twarzy, na której miała za moment wylądować.

Zrobiłem unik, przekręcając ciało na bok, i uderzyłem go od góry w nadgarstek. Drugą ręką wyrzuciłem go od dołu w łokieć, wyginając staw w niewłaściwą stronę. Jestem pewien, że go nie zwicznąłem, ale nie wątpię, że i tak zabolalo jak diabli. Wuefista upadł na podłogę w kuchni, a ja poszedłem zwiedzić łazienkę. Szczoteczka do zębów, jeden ręcznik, najnowszy numer „Penthouse’a” na rezerwarze. Słowem, wszystkie udogodnienia, jakich człowiek potrzebuje w domu.

Znalezienie worków na śmieci i upchnięcie do nich rzeczy wuefisty zajęło mi niecałe piętnaście minut.

– Zwichniłeś mi rękę – poskarżył się. Wciąż siedział na podłodze w kuchni, zaciskając z całych sił powieki.

Wyjąłem z gniazdka wtyczkę telewizora i wystawiłem go na zewnątrz.

– Niektórzy stosują lód przy tego rodzaju urazach – powiedziałem, wysuwając fotel za drzwi. – Według mnie skuteczniejsza jest butelka z ciepłą wodą. Trzeba ogrzać łokieć, a za dwa dni ból będzie tylko wspomnieniem.

Jeśli dobrze pamiętam, zagroził, że mnie pozwie. Zagroził mi wieloma rzeczami, ale ja przestałem go już słuchać. Dopadło mnie zmęczenie, był upał i zacząłem sobie przypominać, dlaczego przez tyle lat trzymałem się z daleka od San Antonio.

Wuefista odczuwał na tyle silny ból, że nie stawiając zbyt-
nego oporu, pozwolił się wpakować do taksówki wraz z większością swoich rzeczy. Zapłaciłem taksjarszowi, żeby zawiózł go do jakiegoś motelu. Telewizor i fotel zostawiłem na trawniku przed domem. Wniosłem swoje rzeczy do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

Otworzyłem transporter. Robert Johnson wypełził ze środka. Czarne futro miał z jednej strony odgniezione w przeciwnym kierunku, a jego żółte oczy były szeroko otwarte. Zachwiał się lekko, stając po dłuższej przerwie na twardym gruncie. Rozumiałem, co czuje.

Powąchał dywan i spojrzał na mnie z najwyższą pogardą.

– Rrrau – powiedział.

– Witaj w domu – odparłem.